Nr. 3. Kraków, Czwartek 17 Stycznia 1895. Rocznik IV.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Szewska L. 7, parter.

Wszelkie przesyłki adresować należy: Józef Kleinberger, ulica Szewska, L. 4.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.

NAPRZÓD

Numer pojedynczy 7 centów.

Do nabycia w Krakowie w Agencyi dzienników Plac Maryacki L. 2,— we Lwowie w Biurze dzienników L. Plohna, ulica Karola Ludwika, i A. Olszewskiego, ul. Kilińskiego L. 2.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane, nie podlegają opłacie pocztowej.

Czasopismo polityczne i społeczne. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Prenumerata wynosi: W miejscu: rocznie 3·—, półrocznie 1·50, kwartalnie —·75, miesięcznie —·25. W Austryi: rocznie 3·60, półrocznie 1·80, kwartalnie —·90, miesięcznie —·30. W Niemczech: rocznie 7 marek. We Francyi: rocznie 10 franków.

Wychodzi co tydzień w każdy czwartek.

Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) 10 ct. — **Nadesłane** po 25 ct. od wiersza. Należytość uprasza się naprzód nadesłać przekazem pocztowym pod adresem Administracyi czasopisma.

PRZEGLĄD.

Upadek Casimir-Periera i jego bandy ministeryalnej stał się przedwczoraj faktem dokonanym. Paryska nasza korespondencya opisuje, jak w parlamencie francuskim większość broniąca łapowników i złodziejów, wydaliła socyalistę tow. Jaures'a ze sali, za to że powiedział prawdę. Ale zemsta przyszła nader rychło! Jeszcze wydalenie tow. Jaures'a się nie skończyło, a już ministeryum „żandarma Dupu'ego musiało ustąpić. A w ślad za swojem ministeryum, ustępuje także sam prezydent republiki Casimir-Perier, milioner wzbogacony krwią i potem biednych górników z kopalń węgla w Anzin. Naturalnie że tym razem ministeryum upadło z powodu szwindlów robionych przez burżuazyjnych posłów na spółkę ze spekulantami. Na próbę tylko opowiemy jedno takie dowcipne oszustwo z kolejami w południowej Francyi. Utrzymanie jednego kilometra kolei kosztuje tam przeszło 2000 franków, a rząd zawarł z właścicielami ugodę, że gwarantuje im dochód przeszło 4000 franków od kilometra i jeżeliby tyle nie zarobili, to im dopłaci resztę. Otóż ci spekulanci starali się koniecznie zmniejszać ruch podróżnych, tak aby wydawali n. p. tylko 1000 fr. od kilometra, resztę aż do 4000 musiał im rząd dopłacać. Właściciele kolei prawie że zamykali dworce przed podróżnymi, a rząd płacił miljony z podatkowych pieniędzy!

Za takie szacherki i ich obronę runęło ministerstwo burżuazyjne we Francyi, a ponieważ prezydent Perier nie może się z nim rozejść, więc również ustępuje. Jest to ogromne zwycięstwo socyalistów.

W parlamencie niemieckim odesłano ustawę przeciw socyalistom do komisyi. Przedtem jednak w pięciodniowej dyskusyi wykazali socyaliści, że policya sama wspiera i rozszerza pisma anarchistyczne, że najmuje „szpiclów“, aby biednych i nieświadomych ludzi prowadzili do zbrodni, a potem do kryminału. Napróżno ministrowie wykręcali się od tych zarzutów. Zresztą socyaliści oświadczają, że socyalizm żadnem prześladowaniem nie da się zniszczyć. Jest tylko jeden środek na zniszczenie socyalizmu na świecie: oto zaprowadzenie sprawiedliwości na świecie. A właśnie tego środka nie posiada rząd niemiecki. Zamiast tego jednak ma policya bagnety i armaty przeciw głodnym robotnikom.

Tygodnik niemiecki „die Zeit“ („Czas“), redagowany przez profesora uniwersytetu Singera. zamieszcza w ostatnim grudniowym zeszycie, artykuł pióra p. Leona Wasilewskiego p. t.: „Polityczne stosunki partyjne w Galicyi“. Przytaczamy tu ustęp traktujący o partyi socyalistycznej w kraju:

„Polska partya socyalno-demokratyczna od niedawna zaczyna zwracać szczególną uwagę na chłopów, ponieważ przy małej liczbie robotników fabrycznych, nie może się ona tutaj tak szybko rozwijać, jak w krajach z rozwiniętym przemysłem, gdzie fabryczni robotnicy dostarczają najwięcej członków socyalnej demokracyi. Bądź co bądź, ma partya socyalno-demokratyczna w Galicyi bardzo doniosłe znaczenie i jest obok partyi stańczykowskiej najlepiej zorganizowaną partyą w kraju. Jest to partya stosunkowo młoda, ponieważ istnieje zaledwie od 5 czy 6 lat, a potrafiła już przyciągnąć do siebie robotników i rzemieślników prawie we wszystkich miastach Galicyi, zwłaszcza zachodniej, gdzie się przecież przemysł rozwija. Od niedawna daje się czuć jej wpływ także i na Śląsku, gdzie pracuje przeszło 150.000 polskich robotników w fabrykach i kopalniach.

„Trzeba zauważyć, że polska partya socyalno-demokratyczna posiada szczególnie zdolne siły agitatorskie i za pomocą swej wybornej organizacyi, oraz ścisłej karności, może odegrać ważną rolę w politycznem życiu Galicyi, zwłaszcza, jeżeli postawi sobie za zadanie zorganizować chłopski proletaryat. Chociaż partya socyalno-demokratyczna wyznaje zasady międzynarodowej socyalnej demokracyi, to jednak stoi ona na ojczystym, polskim gruncie“.

Dodać musimy, że pismo „Zeit“ nie jest wcale socyalistycznem pismem.

Sejmik poselski w Drohobyczu. Poseł Roszkowski zaokrągla i toczy tak pięknie swoją mowę, że „wygładza“ z niej niekiedy wszelki zdrowy rozsądek. Mówiąc przed swoimi wyborcami o tem, że hr. Taaffe wystąpił w r. 1893 z reformą wyborczą, pyta się naiwnie: „po? na co?“ Trzeba być profesorem uniwersytetu, aby mieć prawo na taką nieznajomość rzeczy, jak prof. Roszkowski... Przez lata całe trzęsło się państwo austryackie od agitacyi za powszechnem głosowaniem; tysiączne zgromadzenia, ogromne demonstracye, setki procesów, cała literatura — wszystko to nie trafiło do pana profesora, dlatego, że jego wyborcy, kilkuset bogatych żydów drohobyckich, zajmują się giełdą, a nie reformą wyborczą! A on pyta: „po co — na co?“

Wygadał się też p. Roszkowski z pociesznym sekretem. Oto Koło polskie uchwaliło rano głosować przeciw jednej z ustaw, a popołudniu głosowało za ustawą. Naturalnie, że tacy „obrońcy“ ludu nigdy nie robią przykrości rządowi; skoro tylko mają jaki do rządu interes, idą po cichu do ministra, albo do którego „hofrata“ i w ciszy dobijają targu...

Tak przynajmniej opowiadał poseł Roszkowski swoim wyborcom.

Pan Wójcik z pod Tarnowa a socyaliści. Kiedy ks. Stojałowskiego zamknięto do kozy

ZJAZD KOLEŻEŃSKI.

Myśl urządzenia zjazdu powstała w głowie Smołowskiego.

Adaś Smołowski, zrujnowany dzisiaj kompletnie i utrzymujący się cudem z kredytu i kart, spotkawszy niespodzianie Maryana Gwarycza, kolegę ze szkół, o którym słyszał, że odziedziczył przed paru laty milionowy majątek, że go już prawie podwoił i że ma go wkrótce potroić, żeniąc się z milionową panną — rzucił się z niesłychaną serdecznością wybrańcowi losu na szyję, nie znajdując dość ciepłych słów i uścisków na okazanie, jak się czuje szczęśliwym, że ma go znów po dziesięciu latach niewidzenia przed oczyma.

Gwarycz, wychuchany jedynak, w szkole jeszcze nazywany Marynią, ten szczęśliwiec zawdzięczający wszystko przypadkowi, nic sobie, pochłaniający książki i nieznający życia, marzyciel z natury i z nastroju zakochanego, patrzącego na świat przez tęczową mgłę swej miłości — rozczulił się wylaniem Smołowskiego. Uwierzył w szczerość uśmiechu na tej zniszczonej twarzy, wierząc obecnie we wszystko i wdał się w pełną obustronnych wywnętrzeń rozmowę idealisty z komedyantem, żyjącym z wyzyskiwania ludzkich słabości.

Mówiono tak wiele o kolegach, koleżeństwie, obowiązkach koleżeńskich, że w końcu sama logika gawędki, włożyła na usta Smołowskiemu wyrazy, zupełnie obce jego uczuciom:

— Powinnibyśmy koniecznie urządzić zjazd kolegów...

Gwarycz podjął tę myśl żywo.

Zjazd koleżeński! To świetny pomysł... Zdawało mu się, że zapełnia on jakąś lukę w jego życiu, że bez urządzenia takiego zjazdu, bez spotkania się z kolegami, żyćby dłużej nie potrafił. Naznaczyli sobie obaj na dzień następny spotkanie, celem szczegółowego omówienia projektu.

Nazajutrz Smołowski przyprowadził kolegę Pływalskiego, pracującego w dziennikarstwie, i w trójkę, przy winie na koszt Gwarycza, ułożyli odezwę, wzywającą kolegów do zjazdu „w celu zagrzania się w ciężkiej walce o byt ciepłem wspomnień młodości, podsycania czci dla ideałów, zamierającej w materyalistycznej pogoni za chlebem powszednim etc. etc.“

Odbyło się jeszcze parę posiedzeń, rozesłano listy, wydrukowano odezwę i program zjazdu w piśmie, którego Pływalski był współpracownikiem, i tak doczekano się piętnastego lipca, dnia zebrania.

Nasamprzód na placu przed uniwersytetem, który był punktem zbornym, zjawili się o godzinie ósmej rano żydkowie, dziesięciu kolegów-żydów, razem przybyłych z dzielnicy żydowskiej.

Weseli, krzykliwi, dobrze ubrani, z początkami brzuszków, niegdyś obdarci i biedni po największej części, lecz solidarnie stawiający czoło prześladowaniom katolickiej większości klasy, które na ławie szkolnej zaznaczały już kolizye ras i interesów, czekające ich w życiu — dawali sobie dzisiaj co się zowie radę w „ciężkiej walce o byt“. Wszyscy byli na stanowiskach: połowa doktorów medycyny, druga połowa dobrze sytuowanych prawników, pożenieni młodo, zawczasu, dla wygód małżeńskiego życia i dla pieniędzy, posiadający ładne kobiety i jeszcze ładniejsze posagi, które same się narzucają młodym ludziom ich wyznania, mającym prawo do stawiania przed nazwiskiem dwóch drobnych liter: *dr* — w zamian za ich firmę i mężkość.

Przyszli tutaj z fantazyą, jak ludzie, którym się powodzi, którzy nie mają wprawdzie wiele czasu do stracenia, ale mogą sobie pozwolić na zjazd, choćby to miało kosztować dwadzieścia, pięćdziesiąt, a nawet sto reńskich.

Jeden tylko między nimi znajdował się biedak, na urągowisko swojej psiej doli noszący nazwisko Glückskinda.

Mały, rudawy, brzydki, niezgrabny, z zadartym, czerwonym nosem, jak gdyby wiecznie zmarzniętym, którym ustawicznie pociągał i z krzywemi nogami, na których chodził jak kaczka, o małpiej fizyonomii, zeszpeconej nadmiernie naprzód wysuniętą dolną szczęką i wystającemi z niej zębami — był przykładem tych niepojętą fatalnością losu wydziedziczonych, na których sypią się wszystkie klęski. Małych zdolności ale niezmiernie pracowity, uczył się dniami i nocami do egzaminów, które odwlekał ciągle, nie mając czem uiścić taksy. Żył przytem nędznie z tanich lekcyjek u biedaków, znajdując dla siebie zamkniętymi drzwi bogatszych współwyznawców i kancelarye adwokackie, gdzie uniemożliwiała mu wstęp karykaturalna powierzchowność. Dzisiaj przywlókł się na ten zjazd nieśmiało, skrzywiony i milczący, jakby się bał, aby mu nie kazano odejść, aby i tutaj nie naraził go jak łachmany żebraka, na odprawę, jego surdut wytarty i jego głodna mina. Nie miał zresztą zamiaru zostać na całej uroczystości, nie będąc w stanie wziąć udziału w składce. Myślał jednak, że może między kolegami dowie się o jakiejś lekcyi, jakiemś zajęciu, że mu nastręczą jakiś zarobek.

W sam środek tej Jerozolimy o zakrzywionych nosach, gęstych włosach i minach młodych, pewnych siebie, zadowolonych, zdrowych, wpadł w towarzystwie Smołowskiego Maryan Gwarycz, promieniejący jak dziewczyna wobec ich przywitań, pełnych czci dla jego milionów, które reprezentował tak niepokaźnie i skromnie, jak gdyby nie wiedział, że je ma, nie odczuwał, co one w świecie znaczą.

i uniemożebniono przez to chłopom zgromadzenie w listopadzie, wówczas socyaliści krakowscy chcieli im dać sposobność do urządzenia zgromadzenia poufnego i poszli tak daleko, że chcieli ten sam program omówić, co był drukowanym na zaproszeniach ks. Stojałowskiego! Wiadomo jednak, że chłopów nastraszyli tajni „opiekunowie" i odwiedli ich od zamiaru odbycia zgromadzenia, tak, że grube pieniądze na podróż — poprostu zostały wyrzucone za okno. Otóż teraz zamiast wstydzić się swej ciemnoty, opowiada chłop Wójcik (znany podchlebca naszych liberałów) z pod Tarnowa w drwiącym tonie swoją własną hańbę, opowiada, jak jeden „światły włościanin" z powiatu wadowickiego „zwędził" socyalistom listę zaproszeń i uciekł i pisze:

„A w tem światły włościanin z powiatu wadowickiego, zabrał im ten spis i do drzwi — i nic nie skorzystali na nas socyaliści, a my się później wyśmiali z nich. A nawet i pan komisarz się śmiał, spotykając nas na ulicy. Zapytał co tu robimy, my jemu opowiedzieli całą historyę, jak my zrobili. Pan komisarz nas pochwalił i pożegnał się z nami i poszedł. A my poszli na Zamek, byliśmy w skarbcu i grobach królewskich, i parę kościołóweśmy odwiedzili, a w końcu do domu".

A więc dla uśmiechu i pochwały „pana komisarza" chłopi zachowują się jak gromada żaków i taki Wójcik sądzi, że doprawdy jest dojrzałym obywatelem. A redakcya „N. Wieńca", zamiast pouczyć Wójcika, że właśnie ks. Stojałowski walczy przeciw uśmiechom i pochwałom „panów komisarzy", tak samo jak walczą socyaliści, otóż redakcya cieszy się bezmyślnie, że chłopi nie dali się „złapać" socyalistom. Wójcikowi wolno być głupim i dbać o pochwały „pana komisarza", bo on zapewne nie ma o tem wyobrażenia, ale ks. Stojałowski powinien się zastanowić, czy nie jest jego obowiązkiem spróbować pouczyć nawet takiego głuptaska jak Wójcik!...

Z życia młodzieży akademickiej.

Na uniwersytetach naszych, a szczególnie na krakowskim, prowadzi się bez przerwy „politykę". — Stańczykierya, która owładnęła całem szkolnictwem w kraju, począwszy od najwyższych zakładów naukowych aż do najlichszej szkółki ludowej, — stara się usilnie o to, aby młodym, dorastającym pokoleniom zaszczepić jad służalstwa. Nigdzie jednak wstrętniej to zatruwanie młodzieży nie praktykuje się, jak w uniwersytecie krakowskim. Pamiętamy jeszcze „politykę" rektora Korczyńskiego, próbującą za pomocą „fundowania" w knajpach lub za pomocą brania do swego powozu, wywrzeć wpływ na niedoświadczoną młodzież; pamiętamy intrygi zanoszone do wnętrza rodzin, ażeby tylko uparte głowy studentów zmusić do pochylania się przed rektorem. A kiedy to nie pomagało, umiano się chwycić najbrutalniejszych środków, umiano wypędzać ludzi za ich wcale niewinne przekonania polityczne i rzucać ich na bruk, gdzie czekała ich nędza i odosobnienie. Zwłaszcza: odosobnienie, bo galicyjska publiczność nie mająca wyobrażenia o życiu młodzieży, wydaje takich wyrzuconych, na pastwę stańczykowskich dziennikarskich napaści lub denuncjacji i jeszcze od siebie rzuca na nich kamieniem potępienia!

I trzeba już niesłychanego rozgoryczenia, aby koledzy ujęli się za takim nieszczęsnym banitą; zazwyczaj odbywa się w takich razach jakiś „komers", gdzie się dużo gada, ale z tego gadania nikomu nic nie przyjdzie.

Młodzież bowiem jest albo bardzo ubogą i zależną materyalnie, albo też arystokratyczną tj. trzyma wtedy stronę senatu z zaciętością niesłychaną. rzucając się na „rewolucyonistów" i „socyalistów"— kolegów. Nadto młodzież ta jest w pewnej części niesłychanie skorumpowaną. — Ludziom, przywykłym do szanowania słów: „akademik"—„słuchacz" uniwersytetu i t. d. trudnoby uwierzyć, że wśród tych młodzieńców, na których niektórzy budują przyszłość narodu(!) są denuncyanci i szpiedzy, — zwyczajne znikczemniałe indywidua. donoszące swoim „panom" wszystko co może się zwrócić przeciw „socyalistom" i „rewolucyonistom". Dla sprawiedliwości musimy dodać, że na szczęście, takich denuncyantów jest nie wielu, ale też do tego smutnego rzemiosła nie potrzeba wielu... Naturalnie, że ci denuncyanci nie mają stałego urzędu „donosicieli i poszukiwaczy", ale w zamian za pewne gratyfikacye i „dobre słowo" zwierzchników pełnią judaszową swą służbę.

Znają w kołach uniwersyteckich jeszcze niejakiego pana K..., który dopóty intrygował przeciw „socyalistom" z polecenia swego mecenasa, znanego profesora, aż go koledzy wyłapali na ohydnej rozpuście z siostrą pewnej chorej dziewczyny i zmusili do ustąpienia.

Inny znów, „pobożny" młodzieniec pobiera aż dwa stypendya i cieszy się ogólną pogardą swych kolegów, którzy wietrzą w nim donosiciela i to nie bez pewnych podstaw...

Inny jeszcze „akademik" (oficer rezerwowy!!) przyłapany na publicznej denuncyacyi, głośno woła, że go to mało obchodzi, że go koledzy nazwą denuncyantem!

Na razie nazwisk nie wymieniamy, ale mamy je starannie ponotowane i w razie, jeżeli dla obrony uczciwej młodzieży zajdzie tego potrzeba, wymienimy wszystkie.

A cała ta ohyda używaną jest wyłącznie na to, ażeby tropić i węszyć „socjalistów" t. j. tych, co nie chcą być na uniwersytecie, ani w przyszłości lokajami stańczyków.

Z pośród profesorów są niektórzy ludźmi, nie liczącymi się z czystością środków, zapomocą których chcą wpływać na młodzież. Dla charakterystyki tych profesorów, opowiemy tu jeden niedawno zaszły wypadek, który objaśni sposób postępowania z młodzieżą.

Jeden z akademików zabrał głos w namiętnej dyskusyi w „Bratniej pomocy", aby mitygować obie strony. Mowił on, że „Bratnia pomoc" jest instytucyą humanitarną, która ma wspierać wszystkich bez różnicy partyi, do której należą, że zatem i jedna i druga strona w jej zarządzie powinna mieć udział. Człowiek ten mówił to szczerze, bez chęci podlizania się senatowi. Wkrótce powołano go do bióra senatu i udzielono mu pieniężnego wsparcia. Dopiero kiedy zrozumiał, że to wsparcie miało być niejako zapłatą za jego przekonania, cofnął się i wsparcia nie przyjął.

Pytamy teraz, z jakiem czołem stanie taki pan profesor Cyfrowicz, który ten „interes" załatwiał, wobec uczciwego akademika, który pieniędzy nie przyjął??

Od takiego Cyfrowicza my nie żądamy jakiejś katonowskiej moralności, nie jest on ani lepszym ani o wiele gorszym od innych tego rodzaju ludzi, ale niechaj nie zapominają ci panowie, że oni reprezentują senat akademicki i że przy takich „interesach" musi runąć powaga tegoż senatu w oczach młodzieży.

Cóż dziwnego, że młodzież się „buntuje"? W interesie moralności publicznej, powinno społeczeństwo się cieszyć, że ogół młodzieży nie daje się wziąć na lep „interesów", gratyfikacyi, stypendyów i t. d., lecz broni swego uczciwego, choćby nie skrystalizowanego jeszcze przekonania!

Ale klika stańczykowska jest nieubłaganą, w swej „polityce"; kogo nie zegnie, tego próbuje złamać.

W dalszym ciągu opiszemy bliżej fazy tej „polityki".

Statystyka strejków.

Departament statystyczny przy austr. ministerstwie handlu wydaje od trzech lat zestawienia statystyczne strejków w dziale przemysłowym. Zestawienie to ogranicza się zazwyczaj tylko na strejki ściśle przemysłowe

---

Zasypany natarczywemi pytaniami, wnikającemi gwałtem w jego interesa, w jego osobiste sprawy, zrażony niedelikatnością ich pytań i żartów, tyczących się małżeństwa, w którego przededniu się znajdował, ogłuszony ich szwargotem i żydowskością, on, co po za grono dobrze wychowanych ludzi nie wyglądał od lat dziesięciu, już chciał uciekać — gdy naraz zjawili się prosto z dworca kolei: świeżo przybyły z drugiego końca kraju Dutkiewicz, otyły brzuchacz, w którym zaledwie poznać zdołano cienkiego niegdyś jak laska kolegę, obawiającego się ustawicznie suchót; Gądal, suplent z prowincyi; Błat, i ci, co naprzeciw nich wyszli: Płatkowski budowniczy, wesoły rubacha, lubiący się bawić, pić. żartować i zrobić przytem zawsze jakiś mały interesik, Gawlikiewicz, syn wysokiego urzędnika kolei, przebiegający szybko szczeble karyery urzędniczej, dzięki randze ojca i mający jednę ambicyę: być doskonałą kopią wiedeńskiego *gigerl'a*, oraz paru innych, nadciągających z innej strony miasta, między nimi lalkowaty Bębiński, Pływalski, Wojtarski i Kłyk w mundurze oficera rezerwowego, w którym przyszedł pokazać kolegom swą kształtną figurę ślicznie zbudowanego chłopca.

Powstał, gwar, pełen ciepłych wykrzykników, zapytań, śmiechów, żartów, całusów, pełen wybuchów radości i zdziwienia na widok zmian, jakie w sobie dostrzegali.

— Jak on utył! jak on utył!!... Coś ty na to robił człowieku, żeby się tak upaść?... wołano do Dutkiewicza, niezmiernie zadowolonego podziwem, jaki wzbudził między kolegami jego ogromny brzuch, przyczem jednak starał się zachować powagę naczelnika czwartorzędnej stacyi Krówki, męża, oraz ojca trzech córek, i popularnego wielce w mieścinie, w której osiadł, reżysera amatorskiego teatru.

Naraz w pustem zresztą rozdrożu ulic ta gromadka hałasujących młodych ludzi ujrzała szybko zmierzającą w ich stronę postać w sutannie, uśmiechem zdającą się witać ich zdala.

— Kto to?... czy to nasz?... — odezwały się pytania, nikt bowiem nie mógł poznać nadchodzącego, którego suknia była dla nich niespodzianką.

— Ależ to Rybicki — wykrzyknął po chwili któryś — i w tej chwili poznali go wszyscy.

Tak, to był Rybicki, ten cichy, małomówny, pracowity, nabożny Rybicki, którego z góry przeznaczano sukience duchownej, bo i któż, jeżeli nie on, miał ją przywdziać!

Ruszono parę kroków naprzeciw niego z wyciągniętemi rękami i porwano go między siebie, poczęto ściskać jego ręce drżące, całować jego twarz wygoloną, szczupłą, oblaną żywym rumieńcem, on zaś szeptał, do głębi wzruszony tem zetknięciem się ze światem i z życiem, od którego modlitwa i praktyki nabożne od tak dawna trzymały go zdala:

— Jak się macie... jak się macie... — i witał ich szczerze swemi oczyma anioła, wpadłemi, marzycielskiemi, zdającemi się patrzeć jak z obrazu, trochę zakłopotany tą gromadą świeckich ludzi, zasypujących go świeckiemi żartami.

Wszyscy z pewnem zdziwieniem przypatrywali się, jak dziwnej, obcej, odmiennej istocie, koledze księdzu, który naprawdę, całą duszą obcował z Bogiem, przebywał wśród świętych, w niebie, śnił nawet o nich i we śnie łączył swe westchnienia z chórami serafów.

Straciwszy przed laty ojca, matkę, dwóch braci i siostrę, całą rodzinę, która kochała się wzajemnie do szału — osierocony przez najdroższych, jak nie miał pójść i przebywać ciągle myślami tam, gdzie przenosi zmarłych wiara tłumów, jak nie miał w świat ten całą duszą wierzyć, on, którego dusza była nieśmiałą, skromną, czystą duszą wychowanego przez ludzi uczciwych, cichych i prostych, chorowitego dziecka.

Tymczasem mimo ożywienia, jakie zapanowało w gromadce w miarę jej powiększania się, powoli zaczął objawiać się pewien chłód, być może z powodu zimnego ranka, być także może z powodu pewnej obczyzny, jaką oddalenie, lata, życie, wytworzyło pomiędzy tymi ludźmi, w których w danej chwili mało co więcej było wspólnego nad dość zatarte wspomnienie paru chwil młodości.

Ktoś spojrzawszy na zegarek zauważył:

— To już chyba nikt więcej nie przyjdzie.

Najprawdopodobniej nikt, ponieważ godzina zebrania minęła już dawno.

Policzono się: było ich dwudziestu trzech... tylko tylu?... Niegdyś klasa liczyła sześćdziesięciu uczniów — jakże życie rozprasza.

Wymieniano nazwiska nieobecnych. Jedni byli daleko, paru umarło, wielu wiodło się tak nędznie, że wstydzili się stawać do tego przeglądu, w którym cudze powodzenie urągać im będzie; niektórzy, niegdyś już żyjący w odosobnieniu, nie czuli łączności z gromadą, czy przez oziębłość serca, czy wskutek doznanych zawodów.

Płatkowski zauważył, że Glückskind, którym najmniej ze wszystkich zajmowano się, kręci się niespokojnie, najwidoczniej starając się zniknąć. Domyślił się z miny nieszczęśliwca, że musi być bez grosza. I pomimo że był wrogiem zaciekłym żydów, zdjęła go litość nad tym upośledzonym, który dzielił wszystkie cechy swej rasy, wyjąwszy jej sprytu i powodzenia. Więc wziął go na bok nieznacznie i szepnął, trochę protekcyjnie, bo lubił się pokazać:

z wykluczeniem górnictwa. Z najnowszej publikacyi w tym przedmiocie wyjmujemy następujące dane:

Ogólna liczba strejków przemysłowych w r. **1893** wynosiła 172. Liczba przedsiębiorstw dotkniętych strejkami, wynosiła 1207, liczba robotników zatrudnionych w tych przedsiębiorstwach wynosiła 45.539, zaś liczba robotników, którzy brali udział w strejkach, wynosiła 28.120. W porównaniu z latami poprzedaiemi, okazuje się. że w r. 1891 było strejków 104, w r. 1892 strejków 101; liczba przedsiębiorstw dotkniętych strejkami wynosiła w 1891 r. 1.916, w 1892 r. zaś 1.519; liczba robotników zatrudnionych w tych przedsiębiorstwach wynosiła w 1891 r. 40.486, w r. 1892 24.621, zaś liczba robotników, biorących udział w strejkach wynosiła w 1891 r. 14.025, a w 1892 r. 14.123.

Z ogólnej liczby 172 strejków z r. 1893 wypadają na pojedyncze kraje koronne następujące cyfry:

	strejków	przedsiębiorstw	robotnik. w nich zajętych	uczestników strejków
Austrya dolna	92	419	15003	8530
Czechy	35	256	11916	6323
Galicya	**3**	**100**	**6976**	**6112**
Morawa	26	283	8786	4532
Styrya	5	45	2144	2118
Salzburg	1	18	38	38
Tyrol	6	62	373	238
Szląsk	4	25	303	219
Razem w 1893 r.	172	1207	45539	28120
w 1892 r.	101	1519	24621	14123
w 1891 r.	104	1916	40486	14025

W Austryi górnej, Karyntyi, Krainie, Pobrzeżu, Bukowinie i Dalmacyi w r. 1893 strejków nie było. Co do liczby strejków, to w trzechleciu objętem wykazami, okazuje się w rezultacie znaczny wzrost; również stały i znaczniejszy wzrost okazuje liczba robotników uczestniczących w strejkach w ciągu trzechlecia; liczba podniosła się. Jeżeli uważać będziemy strejki przemysłowe, jako objawy walki ekonomicznej i klasowej robotników, to statystyka powyższa o jednym tylko świadczyć może: o wzroście świadomości klasowej i poczuciu solidarności między robotnikami.

Jak się należy zapatrywać na strejki robotnicze? Czy uważać je za klęski elementarne, za nieszczęścia społeczne, za wypływ zbrodniczej agitacyi lub lekkomyślnej żądzy zmian u ludzi ciemnych i niewykształconych, czyli też za poważne a nieraz wprost tragiczne objawy głębokich prądów, nurtujących w społeczeństwie, o tem pouczają nas dalsze zestawienia statystyczne, dotyczące celu strejków.

Jako cel strejków wykazane są: podwyższenie płacy, zapobieżenie zamierzonej zniżce płacy, lub też usunięcie już dokonanej zniżki, skrócenie czasu pracy, usunięcie nielubianych kierowników lub też niedopuszczenie do wydalenia robotników, wreszcie uroczystość 1 maja, usunięcie pracy akordowej itp. Zestawiając liczbę strejków z motywami tychże w trzech latach, objętych statystyką, otrzymujemy następujący rezultat. Strejków wszczynano:

	w r. 1893	1892	1891
1. Celem podwyższenia płacy	38	19	26
2. Celem zapobieżenia zniżce płacy	20	19	16
3. Celem podwyższenia płacy i zarazem skrócenia czasu pracy, jakoteż innych jeszcze ulg	63	32	28
4. Celem zmniejszenia czasu pracy lub też celem osiągnięcia innych ulg, nie dotyczących płacy	5	9	7
5. Celem usunięcia znienawidzonych kierowników lub robotników, lub też celem niedopuszczenia do usunięcia robotników	21	15	7
6. W rozmitych innych celach (święto 1 maja, usunięcie płacy akordowej, punktualna wypłata zarobku)	25	7	20

Widzimy z tych zestawień, że kwestya płacy w jej rozmaitych kombinacyach była zarówno w r. 1893 jak i w latach poprzednich głównym i najważniejszym motorem strejków: 101 strejków podejmowano celem uzyskania większej płacy wyłącznie, lub też w połączeniu z innemi żądaniami. Bardzo charakterystycznym jest stały wzrost cyfer w rubrykach 2, 3 i 5, wskazujących właśnie na stały wzrost solidarności robotniczej.

Z owych 101 strejków, któtych powodem były kwestye płacy w 17 wypadkach żądania strejkujących, odniosły zwycięstwo, w 43 wypadkach robotnicy odnieśli tylko częściowe korzyści, zaś w 41 wypadkach robotnicy nie uzyskali niczego.

Utrata dni roboczych spowodowana strejkami, rozkłada się na pojedyńcze kraje w sposób następujący:

	strejkowało robotn.	opuścili dni rob.
w Austryi dolnej	8.530	216.332
w Salzburgu	38	494
w Styryi	2.128	79.783
w Tyrolu	238	1.790
w Czechach	6.323	64.358
w Morawii	4.532	95.003
w Szląsku	219	1.071
w Galicyi	**6.112**	**59.680**
Razem w 1893 r.	28.120	518.511
w 1892 r.	14.123	150.992
w 1891 r.	14.025	247.086

Strejki trwały w 100 wypadkach krócej niż tydzień, w 55 wypadkach od tygodnia do miesiąca, zaś w 17 wypadkach dłużej niż miesiąc.

KORESPONDENCYE.

Paryż, 12 stycznia. Od chwili, gdy socyaliści francuscy okazali pewną dążność do zjednoczenia sił rozstrzelonych w licznych odłamach, gdy pomyśleli zaniechać wzajemnych niesnasek, a wziąć się do jednolitej walki przeciw wspólnemu wrogowi proletaryatu, — od chwili tej sprawa wyzwolenia upośledzonych we Francyi stanęła na pewniejszych nogach. Już wybory do Izby w 1893 r. wykazały jasno, do czego może doprowadzić jedność grup najmickich, nawet tak niedokładna jeszcze, jak w szeregach francuskich. Dalej utworzenie się grupy socyalistycznej z różnych odcieni w Izbie daje nowy dowód korzyści i postępu olbrzymiego dla sprawy, gdy działający dla niej połączą swe wysiłki bez względu na drobne różnice w zapatrywaniach. Cała działalność grupy socyalistycznej w Izbie francuskiej począwszy od połowy 1893 r. jest jednym szeregiem tryumfów nad wrogiem, okopującym się coraz więcej w szańcach reakcyi. Rok zaś 1894 zakończył się wyśmienicie, bo zwycięztwem socyalistów w XIII. okręgu Paryża, o czem mówimy niżej.

Sądzono tu kapitana Dreyfusa za sprzedanie sekretów obrony krajowej sąsiedniemu mocarstwu. Sąd wojenny przekonał winowajcę dowodami w ręku, że zdradził ojczyznę i za tę zbrodnię skazał go na zesłanie do kolonij, co — nawiasem mówiąc — owemu przestępcy nie jest rzeczą zbyt przykrą, gdyż ma on majątek, którego będzie mógł zażywać w kolonii w spokoju. Ale równocześnie wyszła inna sprawa na stół. Pewien żołnierz, przyprowadzony do rozpaczy srogiem obchodzeniem się z nim w więzieniu wojskowem, stanąwszy przed sądem wojennym, rzucił w uniesieniu guzik od munduru na jednego członka sądu. Za czyn ten został on skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Dwa te zdarzenia poruszyły żywo opinię publiczną we Francyi. Z jednej strony zdrajcę, który z rozmysłem sprzedaje bezpieczeństwo swego kraju, życie tysięcy rodaków, sąd skazuje stosunkowo na łagodną karę, z dru-

---

— Lajbuś, zdaje mi się, że chcesz uciekać.

Koszlawy żydek zmięszał się, począł bełkotać, że rzeczywiście wpadł tylko na chwilę, aby się z nimi zobaczyć, gdyż nie ma czasu... Ale Płatkowski zamknął mu usta obcesowem:

— No, no, nie blaguj. A co do kosztów — dodał ciszej — zostaw to mnie.

I z zwykłą swą rubasznością wciągnął go między tamtych, nie przypuszczając nawet, jakie rozkosze otwiera tem zaproszeniem żyjącemu jałowem pieczywem i lichemi objadkami w taniej kuchni biedakowi.

Ponieważ program wyznaczył teraz wspólne nabożeństwo, dało się słyszeć:

— Chodźmy już chyba do kościoła — gdy naraz jeszcze jeden kolega zjawił się pomiędzy nimi, wołając ich po nazwisku i chwytając za ręce: brudny, obdarty jak żebrak, w dziurawych butach, z których wyglądały palce, bez kołnierzyka na brudnej szyi, w kapeluszu zbyt przestronym, zatrzymującym się na odstających uszach, żyd Weissfeld, zidyociały z nadmiaru pracy przed samą maturą. Mieszkał on w piwnicy na łasce biednej matki, sprzedającej po ulicach bób gotowany, a sam zarabiał po groszu, wciskając przechodniom zapałki i mydełka.

Na ten widok żydzi żywiej ruszyli z miejsca, zachęcając półgłosem innych:

— Chodźcie, chodźcie prędzej...

Weissfeld jednak, którego zamarła inteligencya zachowała świadomość użytku pieniędzy i pamięć twarzy znajomych — począł wołać na nich po nazwisku i mówiąc na głos, poufale, przez „ty“, traktował ich pudełeczkami zapałek.

Pozbyto go się jałmużną i uciekano jak najprędzej. W drodze zaś miejscowi przybyłym objaśniali stan i historyę biednego kretyna, który straciwszy rozum, przestał się liczyć do ich grona, jak bankrut przestaje liczyć się do klasy, z którą żył, gdy był bogaty.

Weszli gromadką do pustego kościoła, wraz z żydami, którym udzieliła się powaga, jaka napełnia każdą świątynię.

Poczęli rozglądać się ze wzruszeniem, poznając, przypominając sobie te ławy, łuki, sklepienia, ołtarze, konfesyonały i malowidła, gdzie niegdyś, małemi chłopiętami, z naiwną niezmąconą przez własny ni cudzy skeptycyzm wiarą, chylili głowy na odgłos dzwonka, modlili się o pomoc do swych patronów, zagrożeni złą notą, ze drżeniem spowiadali się z poczciwych grzechów dzieciństwa i przystępowali do komunii w podniosłym nastroju czystej, młodej duszy.

Było tu dziś tylko puściej, niż w owych czasach. Zamiast paruset chłopców — ich garstka, wąsaci, brodaci, starsi, dalsi siebie, zawiedzeni w niejednem, bardziej sobą zajęci, może gorsi...

Ogarnęło ich pewne rozrzewnienie i poważne refleksye, właściwe miejscu, w którem byli. Słuchając modlitewnego szeptu Rybickiego, który w ornacie stanął przed ołtarzem z mszę świętą, przypominali sobie coraz żywiej zatarte w pamięci szczegóły życia szkolnego. jego szczere radości, jego naiwne smutki i z niejednej piersi ulatywało stare jak świat westchnienie za szczęściem młodości, które nie wraca...

Tymczasem Rybicki przemówił od ołtarza krótko, ciepło nie bawiąc się w morały, wynurzając prostemi słowy miłość swą dla kolegów i w ich imieniu oddając cześć najwyższą „Temu, który oby wysłuchał ich modłów, i w nieprzebranej swej łasce pozwolił im zobaczyć się znowu za lat dziesięć liczniej i w lepszej, jeżeli taka Jego wola, doli“.

Udano się do gimnazyum, do sali, w której spędzili ostatni rok nauki.

Płatkowski, jeden z najweselszych między kolegami, dowcipkujący trochę banalnie ale z zdrowym humorem człowieka, któremu życie więcej dało, niżeli się spodziewał, zaproponował wesoły żart. Usiędą w ławkach jak niegdyś, jak uczniacy i po dawnemu, powstaniem, przywitają profesorów, zawiadomionych już o uroczystości i zaproszonych do udziału — na znak, że nie przestali kochać w nich i szanować ojców duchownych swej młodości.

Projekt przyjęto aplauzem.

Poczęli odnajdywać w ławkach swe miejsca. Prawie wszyscy trafiali do nich, jak gdyby wczoraj jeszcze byli tu z książkami i zeszytami pod pachą, pośród których ukrywał się ciekawy romans lub wierszyk pikantny. A usiadłszy i spojrzawszy na siebie, rozśmiali się wesoło, przypominając sobie teraz dopiero tysiąc przygód zabawnych i smutnych, których widownią były te ławy, gdzie wykrawano z nudów ukryte kałamarze, gdzie panowała panika gromadnego „rycia“, gdzie pocono się nad trudnem zadaniem matematycznem, urządzano psoty katechecie z niewyczerpaną pomysłowością i werwą przykutego do ławki młodego ciała i duszy młodej, i podpowiadano sobie lekcye z tą solidarnością, zacierającą różnice, wróg wrogowi, hrabicz chłopskiemu dziecku, jaką wytwarza wspólne niebezpieczeństwo. Tu dopiero odszukali, pod twarzami mężczyzn, swe dawne, młode fizyonomie — i żywiej, przykrzej dotknął ich widok tak licznych luk w ławach.

Dwudziestu trzech! — z sześćdziesięciu z górą...

(Dalszy ciąg nastąpi).

giej — prostego żołnierza za chwilę uniesienia, sąd skazuje na najsroższą karę, jaka istnieje w kodeksie karnym wojskowym. Ta krzycząca nierównomierność, nieproporcyonalność wyroków, spowodowała grupę socyalistyczną do przedłożenia Izbie propozycyi przejrzenia odnośnych paragrafów kodeksu wojskowego i do zniesienia kary śmierci. Większość Izby, niespokojna o swoje wpływy na całość armii, tej ostatniej deski ratunku, bankrutującego systemu, nie chciała i słyszeć o podobnej uchwale, wreszcie wzburzona słusznemi zarzutami, które jej uczynił z wielką siłą deputowany socyalistyczny Jaures, zawotowała wykluczenie tego ostatniego z Izby na 15 posiedzeń i pozbawienie go połowy pensyi na 2 miesiące. Tym postępkiem znalazła spodlona większość panamistów upust swej zemsty i nienawiści do przedstawicieli proletaryatu, ale zarazem przekonała znowu szersze warstwy obywateli, że od tej większości szwindlerów, kompromitującej całość i bezpieczeństwo ojczyzny, o której ona tyle krzyczy, nie można się niczego już spodziewać na przyszłość. Ludzie, którzy sprzedają krajowi za bajeczne ceny okręty niezdatne do obrony kraju, którzy fałszują dostawy dla obrońców kraju, którzy prawie ułaskawiają zdrajców kraju, nie są w stanie myśleć o jakichkolwiek ulepszeniach w położeniu wielkiej masy narodu. Do takiej konkluzyi dochodzą wszystkie zebrania w Paryżu i prowincyi, zwołane dla protestowania przeciw wydaleniu Jaures'a z Izby i dla pochwalenia jego postępowania w Izbie.

W XIII.-tym okręgu Paryża przyszło do wyboru jednego posła do Izby deputowanych. Nasi towarzysze paryscy wybrali na kandydata obywatela Gérault-Richard'a skazanego na rok więzienia za rzekomą obrazę „Jego królewskiej Mości" Kazimierza Periera, prezydenta burżuazyjnej rzeczypospolitej francuskie. Przy głosowaniu wybranym został ogromną większością głosów tow. Gérault-Richard, czem ludność owego okręgu dała dowód, że się solidaryzuje z więźniem w potępieniu systemu, który dziś wytwarza takich Perierów.

Po wyborze rozchodziło się tylko o uchwałę parlamentu co do wypuszczenia tegoż z więzienia. Rząd jednak postanowił sprzeciwić się uwolnieniu i zrobić z tego kwestyę gabinetową. Posłuszna większość w parlamencie zastosowała się do życzeń ministra Dupu'ego i odrzuciła wniosek socyalistów domagający się uwolnienia uwięzionego Richarda.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. W niedzielę dnia 13 stycznia, odbyło się doroczne walne zgromadzenie członków Stow. rob. „Siła". — Przewodniczący Stan. Borowiecki, w wstępnem swem przemówieniu zawiadamia zgromadzonych o stracie, jaką poniosło Stowarzyszenie przez śmierć dwóch członków Stowarzyszenia: Aug. Skrzyczyńskiego drukarza i Jana Kwaśniaka, węglarza i wzywa, aby powstaniem z swych miejsc uczcili ich pamięć. W dalszym ciągu swojego przemówienia, zaznacza dodatnią działalność i rozwój „Siły", poczem zdaje sprawę z czynności Zarządu jak następuje: Zarząd odbył w ubiegłem półroczu 10 posiedzeń. Odczytów w drugiem półroczu odbyło się 12, wieczorków 6, zabawy tańcujące 4 i 1 zabawa ogrodowa. Pianino jest już własnością Stowarzyszenia. Wniosek o zbieranie funduszów na budowę własnego domu załatwił Zarząd na razie w ten sposób, iż zawiesił puszkę w lokalu Stow., z której dotąd wybrano 23 złr. i złożono na książeczkę w kasie oszczędności. Zapomóg i wsparć podróżnych udzielił Zarząd w drugiem półroczu 11 członkom, w kwocie 36 złr. W ubiegłym roku zapisało się do Stow. 585 członków, a mianowicie: członków uczestników 5, zwyczajnych 580. Z tych było robotników zawodowych 469, kobiet 35, robotników niezawodowych 76. Ogólna suma wkładek wypłaconych w roku 1894 wynosi 630 złr. 25 ct. Biblioteka liczy obecnie 377 dzieł w 496 tomach; w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosła o 43 dzieł w 60 tomach. Oprócz tego posiada 2 roczniki czasopisma „Naprzód" 1 rocznik „Siły", 1 „Robotnika", 2 roczniki „Świata", oraz 15 zeszytów „Ruchu".

Sprawozdanie kasowe za czas od 1 lipca do 31 grudnia 1894 r. przedstawia się następująco: Dochód 748 złr. 5 ct. Rozchód 461 złr. 98 ct. Stan kasy z dniem 31 grudnia 1894 r. 286 złr. 7 ct. Z tych na książeczkach w kasie oszczędności 158 złr. 42 ct., w kasie podręcznej 127 złr. 65 ct. Powyższe sprawozdanie. Walne Zgromadzenie przyjęło do wiadomości, poczem na wniosek tow. Englischa udzieliło ustępującemu Zarządowi absolutoryum.

Wniosek Zarządu o podwyższenie wkładek tygodniowych (dla robotników zawodowych z 8 na 10 ct., zaś dla kobiet i robotników niezawodowych z 5 na 6 ct.), jak również wniosek o odbywanie zgromadzeń miesięcznych, celem wysłuchania sprawozdania kasowego, jednogłośnie przyjęto.

Z kolei przystąpiono do wyborów. Przewodniczącym wybrano przez aklamacyę tow. Leona Misiołka, drukarza, zast. przew. Wacława Pasławskiego, krawca. W skład Zarządu weszli: Borowiecki Stan. malarz, Gembala Franc. malarz, Romańczyk Michał, szewc, Konturek Wojc., szewc, Dąbrowa Wojc., szewc, Zgorzelski Romuald, szewc, Chybała Jan, stolarz, Dutkiewicz Aleks., ceglarz, Korzeniowski Aleks., węglarz, Sikora Feliks, ślusarz. Jako zastępcy: Przybyś Piotr, stolarz, Kotapka Jan, szewc, Fortuna Stefan, tapicer, Wyrzna Paweł, kamieniarz, Gramatyka Maciej, stolarz. Do komisyi kontrolującej: Englisch Jan, drukarz, Możdżeński Franc., jubiler, Immerglück Jan, restaurator. — Nastąpiły wnioski i interpelacye. — Tow. Serkowski stawia wniosek o udzielenie czasopismu „Naprzód" subwencyi w kwocie 25 złr. Wniosek ten poparty przez tow. Scholza przyjęło zgromadzenie oklaskami. — Tow. Dr. Leser stawia wniosek: „Walne zgromadzenie poleca Zarządowi Stow. rob. „Siła", aby w porozumieniu z przewodniczącymi wszystkich Stowarzyszeń zawodowych, rozwinął jak najenergiczniejszą akcyę celem zbierania funduszów na budowę własnego domu robotniczego". Wniosek powyższy przyjęto, poczem przewodniczący zamknął zgromadzenie.

II. Zjazd partyjny socyalistów polskich pod zaborem pruskim*), W drugim dniu obrad przewodn. Berfas oznajmił o aresztowaniu i wydaleniu z granic Prus tow. dra Lesera. Zgromadzeni wyrazili w bardzo dobitnej formie swoje ubolewanie wobec bezprawia policyi pruskiej. Tow. Wiese z Poznania uzasadniał wniosek przeniesienia „Gazety robotniczej" do Poznania. Potrzeba na miejscu ustawicznie zwalczać napaści kleru i szlachty, a z Berlina tego łatwo czynić nie można. Tow. Januszkiewicz i Merkowki są za wnioskiem, ale Merkowski zwraca uwagę, że w Poznaniu grożą pismu trudności i prześladowania, od jakich można się usunąć w Berlinie. Brzoskwiniewicz odczytuje serdeczne gratulacyjne pismo z Moskwy od polskich socyalistów. Marowski chce ustanowić termin, kiedy można z największą korzyścią przenieść gazetę do Poznania. Tow. Sarna i Wekliński żądają przeniesienia gazety na Górny Szląsk, gdzie pracują tysiące robotników polskich. Po upływie roku możnaby już grunt dla gazety przygotować. Tow. Golibrocki przestrzega przed zbytnim pośpiechem, bo wrogowie ludu robotniczego mogliby gazecie zaszkodzić. Po dłuższej dyskusyi uchwalono pozostawić zarządowi do decyzyi, czy i kiedy ma przenieść gazetę z Berlina do kraju. Pod koniec posiedzenia tow. Pätzold opowiada dokładnie szczegóły uwięzienia dra Lesera. Tow. Leser wydał się z powodu swej stanowczości władzom pruskim „niebezpiecznym" i dlatego został wydalonym.

W Wendryni odbyło się zgromadzenie filii rob. metalurgicznyah w niedzielę 13 b. m. Przewodniczył tow. Kornuta, referował Daszyński na temat: „O wysokości płacy roboczej u nas". Mowca scharakteryzował szwindle, za pomocą których obrywa się i tak niską płacę, zwłaszcza system akordowy w fabrykach szląskich; wykazał, że płaca robocza jest u nas za niską, aby módz wyżywić robotnika z rodziną, i w końcu zastanawiał się nad środkami podwyższenia zarobków robotniczych. Ponieważ t. zw. „wolna" umowa fabrykanta z robotnikiem jest świętością, której rząd burżuazyjny nie chce się dotknąć, przeto robotnicy powinni co prędzej stworzyć silną organizacyę, zgromadzić choćby skromne fundusze i domagać się solidarnie podwyższenia płacy, a w przeciwnym razie urządzić bezrobocie.

Tow. Wojnar złożył następnie sprawozdanie kasowe, poczem uchwalono wysłać delegatów na zjazdy zawodowe do Bielska i do Wiednia, oraz podwyższyć wkładkę miesięczną o 8 centów, aby módz prenumerować tygodnik „Naprzód". Po zgromadzeniu odśpiewano „Czerwony sztandar" i „Pieśń o prawie wyborczem".

*) Patrz: „Naprzód" Nr. 1.

Z warsztatów i fabryk.

Huta Hildegardy (Szląsk). Dola robotników, zajętych w zakładach fabrycznych i hutach arcyksiążęcych pogarsza się z dniem każdym. Podczas kiedy na wielkim świecie udają przynajmniej, że myślą o poprawie losu robotnika, to w fabrykach szląskich, zatrudniających często po kilka tysięcy robotników, różni dyrektorowie i „verwaltry" suszą sobie głowy nad tem, jakby płacę roboczą zniżyć, lub „urwać" w jakiś sposób czy to z zarobku, czy też z innych dogodniejszych dla robotnika warunków. Ci panowie „verwaltry" liczą na to, że robotnicy nie mogą im się oprzeć, bo jeszcze nie mają silnej organizacyi, ale tutaj mogą się przeliczyć, bo rozgoryczenie robotników wzrasta z dnia na dzień!

Dzisiaj mamy do zanotowania nowe „pomysły" verwaltra Webera z huty Hildegardy. Weber zaledwie od dwu lat zarządza hutą, a już wymyśla nowy cennik, przy którym obcina robotnikom zarobek niekiedy o 40 procent! Robotnicy huty żyją i tak w strasznej nędzy ze swemi rodzinami. Nie dość, że nowy statut kasy chorych i funduszu pensyjnego nie daje im żadnej nadziei na weselszą starość, jeszcze pan Weber chce im teraźniejsze zarobki zmniejszyć!

Ale pan „verwalter" igra z ogniem; nędza robotników nie może im pozwolić na dalsze urywanie i tak mizernego zarobku i pewnego poranka huta może stanąć!... Zwracamy się do dyrekcyi dóbr i fabryk arcyksiążęcych i do starostwa, aby zmitygowały pana „verwaltra" w jego zapędach, które mogą doprowadzić do nieszczęścia licznych robotników.

Leopold Epstein i Społka i „Swojski" przemysł. P. Leopold Epstein, właściciel parowej pralni w Podgórzu sprowadza z całego świata maszynistów do swej pracowni, przyrzekając im jak największą płacę, a następnie wyzyskawszy w najbrutalniejszy sposób, wydala z fabryki bez wszelkiego wypowiedzenia. Tak samo obszedł się z tow. Antonim Christem; namówił do wstąpienia do swej fabryki, zmuszał do 18 godzinnej pracy, a następnie wydalił dlatego, że Antoni Christ nie chciał po 18 godzinnej pracy dalej w nocy pracować.

Antoni Christ udał się do rozmaitych władz, ale nie władając biegle językiem polskim, nie mógł sobie dać rady, a w Magistracie wprost mu powiedziano, że z radnym nie należy zadzierać.

Epstein chciał następnie zwieść Christa, przedkładając mu do podpisania papier, w którym tenże zrzeka się pretensyi za bezprawne wypowiedzenie — ale Christ nie dał się wystrychnąć na dudka. Ostrzegamy towarzyszy przed wyzyskiwaczem Leopoldem Epsteinem.

KRONIKA.

Do świetnej Dyrekcyi c. k. poczty we Lwowie i do urzędu pocztowego w Bochni!

Otrzymaliśmy następującą reklamacyę, adresowaną do naszej redakcyi:

„Nie otrzymałem gazety Nr. 2 z dnia 10 stycznia. Zatrzymuje mi ją listonosz, który je roznosi.

Antoni Piechnik, stolarz w Bochni".

Podajemy fakt i prosimy o pouczenie listonosza bocheńskiego o jego obowiązkach urzędowych. Jeżeli nasza prośba nie pomoże, udamy się na drogę sądową i będziemy się bronili przeciw podobnym bezprawiom.

Rozprawa karna przeciw tow. Stan. Setkowiczowi ma się odbyć w najbliższy poniedziałek przed zwyczajnym trybunałem. Setkowicz (zostający w więzieniu śledczem od listopada) obwiniony jest o zbrodnię z §. 63 u. k. i §. 122 lit. a. b. d. u. k. (Obraza majestatu i obraza religii). Do rozprawy ma stanąć 7 świadków dowodowych.

Doniesienie Setkowicza przeciw Arkadyuszowi Bieńkowskiemu, zarządcy szpitala o zbrodnię nieprawnego aresztowania, prokuratorya państwa odłożyła.

Konferencya państwowa całego zastępstwa partyi socyalno-demokratycznej w Austryi, odbyła się w dniu 13 stycznia. Po złożeniu sprawozdań z poszczególnych krajów debatowano nad taktyką, a następnie nad prasą partyjną.

Świętość małżeństwa. Vanderbildt, milionowy amerykański nabob, chce się rozwieść ze swą żoną i gotów jest jej dać odstępnego 10.000 dolarów. Pani Vanderbildt jednak twierdzi, że miłość, którą swemu mężowi przez długi szereg lat okazywała, przynajmniej 15 milionów w gotówce warta i grozi mu procesem. Czyż nie jest taki burżuazyjny związek małżeński obrzydliwszym, aniżeli życie dziewczyny, utrzymującej się z prostytucyi, która dzięki dzisiejszemu ustrojowi społecznemu, zmuszoną jest za kilka srebrników ciało swe sprzedawać? Mimo niezliczonych dowodów, że świętość małżeństwa u sfer uprzywilejowanych niczem innem nie jest, jak pustym frazesem, utrzymują przecież księża i obrońcy dzisiejszego społeczeństwa, że socyalna demokracya chce święty stan małżeński zrujnować.

Odpowiedzi Redakcyi.

L. Br. Paryż. Numera wysyłane są regularnie, zawsze pod wskazanym adresem.

K. Paryż. Prosimy o korespondencye z ostatnich czasów, gdyż inaczej korzystamy z telegramów pism zagranicznych.

Piechn. w Bochni. Numer 2-gi powtórnie wysłany.

Sob. w Budapeszcie. Prosimy tylko o przysyłanie krótszych korespondencyi i o cierpliwość. Zasyłamy pozdrowienia.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Jan Scholz.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.